

— Pięć marek osiemdziesiąt sztuka — szanowny panie.

— To bardzo drogo. Musi pan dla mnie obniżyć cenę. Większą ich ilość weźmę.

— Większą ilość... Na tuziny mogą panu po pięć czterdzięci za sztukę policzyć.

— Przy takiej cenie również interesu nie zrobimy. Mówiłam już panu, że moje zapotrzebowanie jest duże.

— Najniższa cena pięć marek dwadzieścia pięć zatem.

— Hm. Ile tych kombinacji masz pan na składzie?

— Oh, panie — szef się roześmiał — ile tylko pan sobie życzy!

— Pięćdziesiąt tuzinów, dajmy na to...

— Pięćdziesiąt tuzinów? — jękał się szef. — Tyle nie mam.

— Dlaczego więc mówisz pan: ile sobie życzę?

— No... niech pan będzie łaskaw trochę zaczekać... sześć tuzinów znajdzie ich się na składzie.

— Sześć tuzinów... to trochę za mało, a zresztą... Gotów jestem dać panu po 4 marki za sztukę.

— Tęby wyniosło... — mówił pan Pinkvoss półgłosem, wzięwszy ołówek z ręki panny Kity i pisząc w notesie — dwieście osiemdziesiąt osiem marek ogółem. W myśli zaś dodał — sześćdziesiąt marek czyścigo zysku.

— Sprzeciwia się to coprawda — znów mówił głośno — mojej zasadzie; nie zwykłem odstępować od ceny, która i tak jak najniższej skalkulowana została. Ale wobec tego, że chodzi tu o pewnego rodzaju zakup hurtowy, nie będę ukrywał przed panem, że w tym wypadku...

Klient wyciągnął zegarek.

— Bardzo będę zobowiązany panu, jeśli mi pan pokaże zechce, co pan oprócz tego jeszcze ma na składzie?

— Owszem, proszę pana. Na co pan w dalszym ciągu reflektuje?

— Masz pan pyjamy?

Panna Kity rozpromienionym wzrokiem wskazała na różnobarwny stos z prawej strony magazynu leżący.

— Jaka cena?

— To zależy — zabrał głos pan Pinkvoss — skromniejsze są po dziesięć marek pięćdziesiąt, na te jednak pana nie mam; oto elegancka pyjama za dziewięćnaście marek; tu zaś ma pan coś wyjątkowo pięknego: trzydzięci marek, to prawda, ale za to — śliczności!

— Ile pyjam masz pan w zapasie?

— Co proszę...?

— Pytam, ile pyjam mogę u pana mieć?

— Och, panie... — pan Pinkvoss spojrział na pannę Kity, spotykając się z jej podnieconym wzrokiem. Rzucił okiem na pannę Mary, ze zdumieniem niezwykle przyglądająca się kupcowi; na pana Streckfussa i pannę Różę, którzy nareszcie przestali się sobą zajmować, i zwracając się w końcu do klienta, odparł z wahaniem:

— Ze trzydzieści sztuk w rozmaitych cenach...

— Ile razem kosztują?

— Ile razem...?

— Czy potrzeba — spytał klient łagodnie — czy nieodroźnie potrzeba, ażebyś pan każde moje pytanie powtarzał? Głośno i wyraźnie, zdaje się, pytam, ile trzydzięci pyjam razem kosztuje?

— Och, panie... — zaczął pan Pinkvoss urażonym głosem, w obawie jednak splotenia takiego klienta, dokończył grzecznie:

— Widzi pan... zakupy tego rodzaju zdarzają mi się, szczerze mówiąc, dość rzadko.

Na co przybysz z miejsca mu odparł:

— Skoro to panu niedogadza... widziałem z prawej strony na rogu sklep galanterijny, z lewej również; pójdę tam, jeśli kupno panu nie na rękę.

— Niechże mnie pan źle nie rozumie — odparł pan Pinkvoss z prośbą w głosie. — Za te trzydzieści pyjam, licząc po dwadzieścia marek przeciętnie, wezmę sześćset marek od pana.

— Pan na serjo tego nie mówi. Sam pan twierdzi, że jest to zakup hurtowy. Daję panu... czterysta marek, dajmy na to i każ pan trzydzieści pyjam zapakować. Pończochy są w sklepie?

— Pończochy? Ależ to moja specjalność. Pan ma skarpetki na myśli? Wełniane? Półwełniane? Bawełniane? Fil d'écosse? Bardzo proszę! Po tamtej stronie!

— Nic z tego — zaśmiał się klient. — Damskie pończochy! Jedwabne damske pończochy!

— Jaki numer?

— Potrzebuję wszystkie numery.

— Pan potrzebuje wszystkie numery? — powtórzył pan Pinkvoss zdumiony, pod pełnym wyrzutem spojrzeniem gościa poprawiając się natychmiast. — Tak, tak, naturalnie! Panu wszystkie numery są potrzebne.

— Jaka cena tych jedwabnych pończoch?

— Te są najtańsze. Jedna marka osiemdziesiąt za parę. Ale ceny są przeróżne; idą w górę aż do jedenastu marek za parę.

— Hm, hm. A jeżeli zakupię wszystkie pończochy, które pan masz na składzie?

— Wszystkie pończochy... które mam... na składzie?

Mimo piorunujące spojrzenie niepowszedniego gościa pan Pinkvoss nie mógł się od powtórzenia pytania powstrzymać.

— Pan daruje... pan daruje... ale to mój zwyczaj... jak jestem podniecony... Mój cały zapas pończoch zatem mogę panu za tyśiąc trzysta sześćdziesiąt marek ogółem oddać.

— Ale wobec tego, że kupuję za gotówkę, oddasz mi pan za dziewięćset. Każ pan pończochy pakować.

— Nie — oparł się pan Pinkvoss, irwając, że raz przynajmniej musi zęby pokazać — niżej tyśiąca nie oddam.

— Na dziewięćset pięćdziesiąt musisz się pan jednak zgodzić...

— Trudno, niech już tak będzie. Panno Mary proszę całą partję pończoch spakować i rachunek na dziewięćset pięćdziesiąt marek wystawić.

— Państwo dziwią się zapewne — odezwał się klient — co ja z temi wszystkimi kombinacjami, pyjamami i pończochami zrobię?

— Naturalnie — odparł szef z głębokim ukłonem.

— Pan nie znasz mnie?

— Nie, panie.

— Pierwszego rozpoczynają się gościnnie występy mojej Revue w Westendteatrze. Zespół trzystu aktorów, z nich dwieście dziewięćdziesiąt dam. Rozumiesz pan teraz?

— Pewnie, panie dyrektorze!

— Prawie całą godzinę spędziłem u pana — mówił dyrektor z zadowolonym wyrazem twarzy. — Stara historia, drobiazgi tyle czasu zajmują! Przyslijże pan cały zakup jutro z rana do Westendteatru na ręce dyrektora Meyer-Spelteriniego. Z pokwitowanym rachunkiem, oczywiście.

— Z przyjemnością, panie dyrektorze — odparł szef z głębokim ukłonem.

— Ile osób liczy pański personel? — spytał dyr. Meyer-Spelterini na odchodnym — przysyłę państwu bilety na premierę.

Na ulicy czekało auto. Dyrektor wsiadł i odjechał, jak wódz maczelny, który wielką bitwę wygrał.

Podczas kiedy personel sklepowy gorączkowo nad wypadkiem dnia debatując, do pakowania zakupionego towaru się zabierał, pan Pinkvoss zaś, jak skała spiżowa wśród spienionych fal nieruchomo stał, rozegrał się ostatni akt dziwnego wypadku: dwaj panowie weszli śpiesznie do magazynu, pytając z niepokojem, czy nie był tu czasami rzekomy dyrektor Meyer-Spelterini, co robił i gdzie jest obecnie? W odpowiedzi na szybkie, pełne trwogi i zdenerwowania rewelacje pana Pinkvossa pokiwali głowami, patrząc tępo w stronę, dokąd dyrektor Meyer-Spelterini tylko co odjechał.

— Dziś właśnie — oznajmił jeden z nich — wymknął się z zakładu dla obłąkanych w Katarinenstein, mieuleczalny paramoik. Ma manję robienia olbrzymich zakupów dla teatru, którego rzekomo jest właścicielem. Kupuje zwykle kombinacje, pyjamy, jedwabne pończochy...

— Tak jest — podchwycił pan Pinkvoss glucho, doznając uczucia, że wraz z całym swoim magazynem głęboko, głęboko w bezdeny ocean się zapada...

— Przekreśl rachunek, panie Streckfuss — krzyknął do swego zastępcy — nie pakujcie towaru, moje panie! A wogóle, panie Streckfuss, gdybyś się pan cokolwiek lepiej na klientach znał i gdybyś pan, nota bene, więcej na drzwi zwracał uwagi, zamiast z panną Różą gawędki ciąć, na pierwszy rzut oka byś poznał, że z umyslowo chorym mamy do czynienia!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 18 września 1927 roku.

Nr. 38.

## Wycieczka członków Konferencji Międzyn. Chemji Czystej i Stosowanej w Łodzi.



W b. m. odbyła się w Warszawie Konferencja Międzynarodowa Chemji Czystej i Stosowanej, której uczestnicy w dniu 8 września odwiedzili również Łódź.

Udział w wycieczce wzięło przeszło 50 osób, w gronie których było czterech przedstawicieli wielkiej prasy zagranicznej. Gości w Łodzi podejmował uroczysty Komitet, składający się z prezydium Wielkiego Związku Włókienniczego z prezesem p. Biedermanem i konsulem p. Scheiblerem na czele, Koła Chemików i Stowarzyszenia Techników.

Wycieczka zwiedziła Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i L. Grohmana oraz Państwową Szkołę Włókienniczą, poczem goście opuścili Łódź.

Na zdjęciu widzimy uczestników wycieczki na terenie Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych K. Scheiblera i L. Grohmana.

## Teatralja.

Zapomniana opera. — Premjery i zapowiedzi. — Teatr i kino, ich wzajemny stosunek i różnice.

Zainauguowanie sezonu w Operze Warszawskiej niegraniem od wielu lat arcydziełem Moniuszki „Hrabina”, było dla dzisiejszej publiczności prawdziwą rewelacją artystyczną, świadczącą o potędze geniuszu i inwencji twórczej. „Halka” i „Straszny Dwór”, które cieszą się tak wielką popularnością na scenach teatrów operowych polskich, aczkolwiek bogatsze w pierwiastki muzyczne o charakterze narodowym, z ogólniejszego punktu widzenia nie stoją bynajmniej na wyższym poziomie artystycznym, aniżeli piękna, wytworna, a zapoznawana niesłusznie „Hrabina”. Świeżość i wdzięk partytury, której doskonałość musi wzbudzać zachwyty, świetna, pełna umiaru, instrumentacja, rytmika partii baletowych i wykwintny styl libretta — wszystkie te walory predystynują „Hrabinę” na jedną z najulubieńszych oper polskich i czynią z niej prawdziwy klejnot narodowego repertuaru.

Zasluga wznowienia „Hrabiny” w Operze Warszawskiej i to wznowienia pod każdym względem wielce udanego, należy do dyr. E. Młynarskiego, który z maestrią i

zapałem operę prowadzi. Posiadając do dyspozycji solistów di primo cartello, dobrze wyćwiczone orkiestrę i chóry, dyr. Młynarski stworzył całość muzyczną pierwszorzędną, godną tradycji i zadań stołecznego Teatru Wielkiego. Z wykonawców wymienić należy przede wszystkim p.p. Bandrowską (w roli tytułowej) oraz Michałowskiego i Dobosza.

„Hrabina” powstała w roku 1860. Jest ona w dużym stopniu komedią satyryczną, w której poddano zasłużonej chłości grzechy wyższych sfer społeczeństwa polskiego, grzęznącego — w dobie nieszczęścia Ojczyzny — po uszy w pianie uciech zmysłowych i hulaszczyczych szaleństw. Zróżniczkowanie poglądów i nastrojów osób działających, wśród których są również reprezentanci patriotycznej uczciwości i tężyzny, dało okazję Moniuszce do odrębnego a zawsze w jednolitym stylu utrzymania, traktowania partii operowych. Z jednej strony przedstawiciele szalejącego wielkiego świata z „pod Błachy” (Hrabina Dzidzi), z drugiej — obóz nieskażonej polskości (Choraży, Kazimierz, Bronia), pomiędzy zaś temi przeciwieństwami „neutralny” Podczaszyk, grawitujący to w jedną, to w drugą stronę. Charakterystyczne cechy i właściwości wszystkich tych o-

sób znajdują sobie pełny wyraz w partyturze, interesującej — prócz wielu innych zalet — również bogactwem i różnorodnością pomysłów muzycznych.

Dorocznym zwyczajem dyrektorowie teatrów polskich — u progu nowego sezonu — dzielą się z pracą i publicznością przedzą swoich wrażeń i zamierzeń. Zwyczaj to, powiedzieć można — odwieczny, a powtarzający się z taką dokładnością i regularnością, jak przepowiadane co do sekundy zjawiska astronomiczne.

Gdyby smutna zazwyczaj — z różnych przyczyn — rzeczywistość nie wariowała różnobarwnych, wrotnych, radujących duszę kwiatów dyrektorskich zapowiedzi, gdyby realizowały się one w ciągu sezonu choć w — połowie — osiągnęlibyśmy w bardzo bliskiej przyszłości szczyty kultury teatralnej i mogliśmy z dumą świat zadziwiać rozpiętością i głębokością naszej działalności scenicznej. Refleksję tę nasuwać się muszą każdemu, kto nie od wczoraj dopiero obserwuje polskie życie teatralne i nie od dziś tęskni do jego bujności i rozkwitu.

Zresztą, obowiązkiem kronikarskim jest rejestrować nawet: dobrze, jak najlepsze niewątpliwie, chęci i zamiary kierowników scen polskich, a przyszłość niechaj wy-

wie swe ostatnie słowo i sąd swój wyda o tem, co zostało i co mogło być uczynione. Dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, dr. Z. Nowakowski zapowiada więc na sezon 1927/28 następujące nowości i wspaniałości: „Kleopatę” i „Krakusa” — Norwida, „Marcholta” — Kasprowicz, „Wigilję” — Zegadłowicza, „Cudzoziemszczyznę” — Fredry — dalej dzieła Lope de Vegi, Calderona, Gorkij, Kalidosa oraz szereg wybitnych nowości polskich. Jak stwierdza prasa krakowska, rezultaty ubiegłego sezonu są dość nędzne — pomimo 350,000 deficytu, pokrywanego przez miasto. Z 32 wystawionych sztuk było tylko 14 polskich, a 18 obcych, przy czem sztuki polskie zajęły 100 wieczorów, obce zaś — 200.

Teatr Polski w Poznaniu, pozostający pod dyrekcją B. Szczukiewicza, pozyskał ceną pomoc kierownika literackiego w osobie Emila Zegadłowicza. Na konferencji prasowej dyrekcja teatru poznańskiego w ten sposób nakreśliła główne wytyczne repertuarowe: „Beatrix Cenci” — Słowackiego, „Dziady” — Mickiewicza, „Noc Listopadowa” — Wyspiańskiego, „Zemsta” — Fredry, „Człowiek z budki suflera” — Rittnera, „Marcholt” — Kasprowicz, „Dziękuję ci” — K. Brończyka, „Bal w obłokach” — St. Miłoszewskiego; z obcych pisarzy dyrekcja zamierza wystawić Szekspira — „Romeo i Julję” albo „Makbet”, Calderona jedną z niegranych w Polsce sztuk, Rostanda — głośnego „Cynara de Bergerac”. Po za tem w planie repertuarowym będą uwzględnione utwory najnowsze, znajdujące się jeszcze oczęściowo na pisarskich warsztatach autorów. Pod pięknym hasłem: „Mało obietnic, a dużo czynów” zamierza dyrekcja poznańska prowadzić swoją teatralną nawę.

W jednym z czasopism warszawskich, znana autorka p. M. J. Wielopolska, omawiając książkę Poli Negri pod tyt.: „La vie et la réve au cinéma”, rzuca szereg interesujących uwag na temat wzajemnego stosunku teatru do kina oraz różnic pomiędzy formą i efektem scenicznego a ekranowego wyrazu. „Teatr dał nam wszystkie rozkosze, prócz najwyższej i spokojnej czyną nietylko oszałamiającego uroku kina, ale i jego międzynarodowości... Z tego samego powodu, malarstwo i muzyka były zawsze większym łącznikiem między ludami niżli literatura...” (Literatura np. esperancka mogłaby zapewne stać się jednak groźnym rywalem kinowych sukcesów — przyp. sprawozd.). A dalej — entuzjastki ekranu tak mówią o „dziesiątej” muzyce: „Sztuka filmowa ma to do siebie, że działanie jej jest bezpośrednie... Ktokolwiek wymyśla i uraga filmowi nie ma racji. Żłuda, sen i marzenie są tak niezbędne dla żyjących, jak chleb... Hipochondryk skłania się raczej do teatru, bo tam ma możliwość bezpośredniego manifestowania swoich złych humorów. Wygwizduje aktorów, wyśmiewa reżyserów (!). Wobec ekranu jest bezsilny... Gdyby znikł...

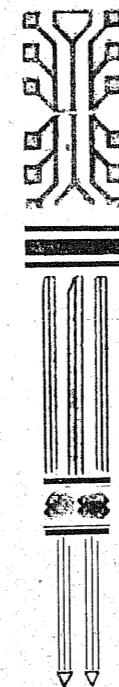


Bankiet jubileuszowy członków Towarzystwa Zwolenników Sportu w Łodzi, urządzony z okazji 20-lecia Towarzystwa. Fot. Aleksander Meyer.

## 20-lecie Towarzystwa Zwolenników Sportu w Łodzi.



W dniu 11 b. m. Towarzystwo Zwolenników Sportu w Łodzi święciło jubileusz 20-lecia swego istnienia. Z tej okazji w łonie Towarzystwa odbyła się wielka uroczystość. Na zdjęciu powyższym grupa członków Towarzystwa z nowopowświęconym sztandarem na czele. Fot. Aleksander Meyer.



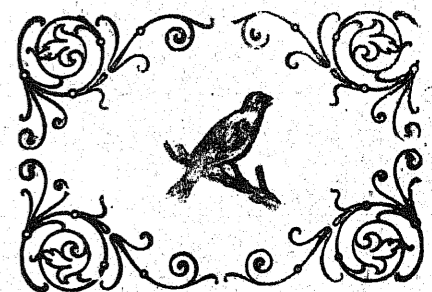
Ze Szkoły Rytmiki i Plastyki p. Z. Janczewskiej w Łodzi. Charakterystyczny fragment plastyczny z ćwiczeń uczniów szkoły.

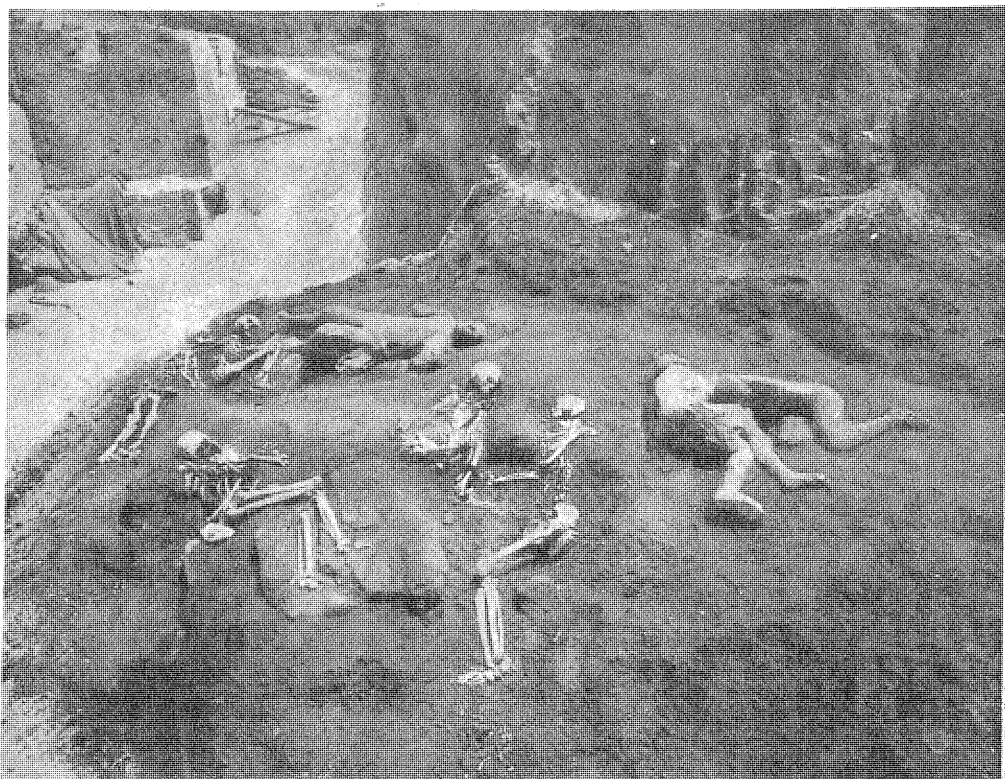
teatr, mniejsza byłaby dla ludzkości krzywdą (!): głusi są wszakże mniej pożałowania godni, niżli ślepi... Film unicestwił wszelką tradycję teatralną. A może unicestwił sam teatr (!), gdy posiadał dziedziczną barwę...”

Nie sądzę, by instytucja teatru, stara w zasadzie, jak — ludzkość, miała zażreć w posadach od tych straszliwych konstalacji i prognoz wielbicielek kina. Wydaje się bowiem niezależnym i nawet nie-hipochondrykiem, że to ostatnie ma poważną rację bytu obok i niezależnie od teatru, który ma swoje własne zadania życiowe i li-

nje rozwojowe, w niczem do dróg X muzy niepodobne.

Delta.

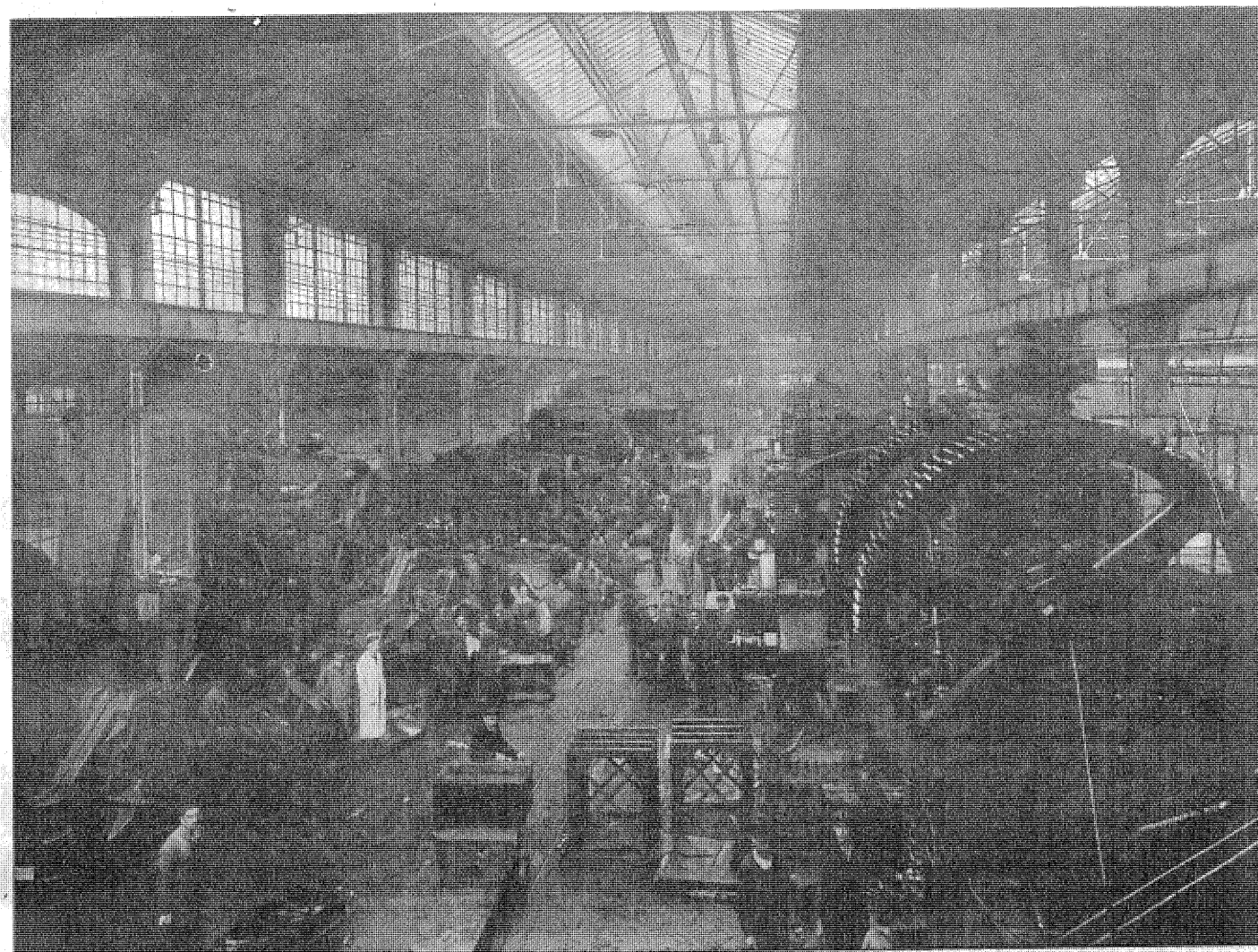




Ciekawe wykopiska egipskie.



Typ niewiasty słowackiej w stroju wym.



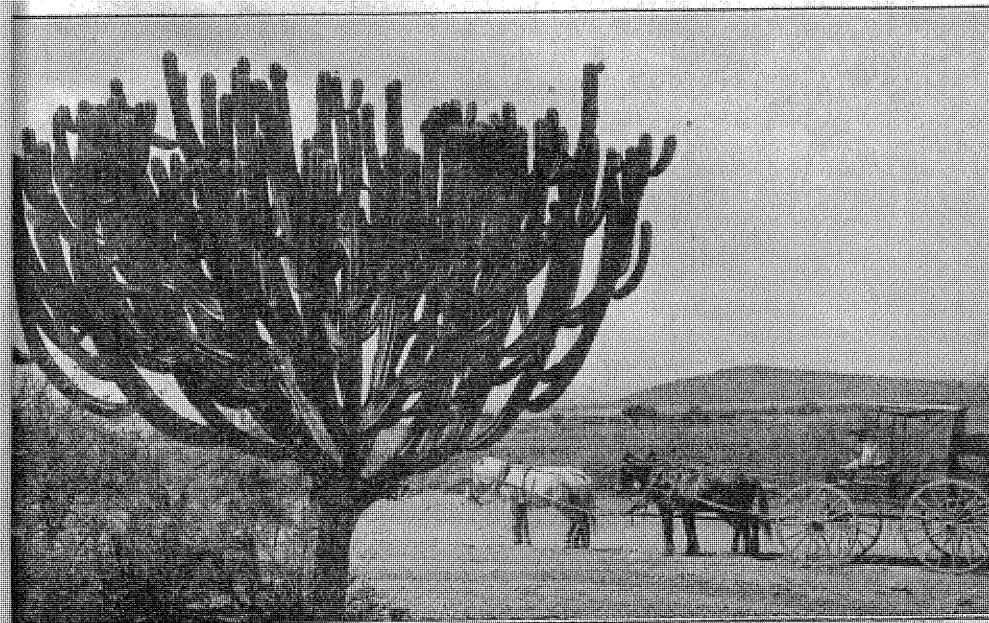
Wielka hala maszyn w słynnej fabryce samochodów Citroena.



Boncour, delegat Francji w Radzie Ligi Narodów, w karykaturze.



Z za kulis filmu. Odpoczynek przy nakręcaniu „Ben Hura”.



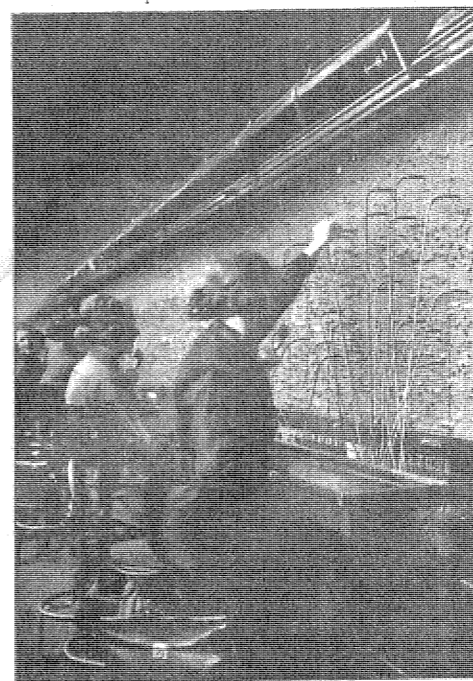
Kaktus olbrzym.



Norma Talmadge, bohaterka z filmu „Królowa półświatka”.



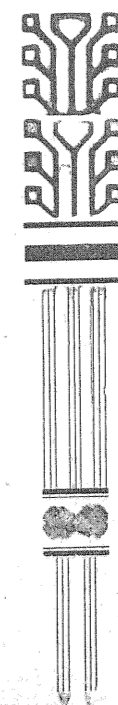
Mistrz Polski w scullingu, Oświęciński, brał udział w międzynarodowych regatach wioślarskich w Bydgoszczy.



Na warszawskiej stacji telefonów..



W mennicy państwowej. Praca nad układaniem bilonu.



Odjazd pierwszej pary zawodników S.S. Union na motocyklach z Łodzi do Warszawy. Fot. Aleksander Meyer.



Fatalne skutki powodzi w Małopolsce. Domy na jednej z ulic Borysławia, zniszczone siłą huraganu i powodzi.



Nadbudowa wieży katedralnej w Łodzi. Ciekawe powiązania żelaznego szkieletu nadbudowywanej wieży.

## Zielone Krzesło.

Zadziwiające rzeczy zdarzają się ludziom w Paryżu. Nietylko w Paryżu, broń Boże, ale nigdzie może częściej, jak w Paryżu. Choć na pytanie „dlaczego?” niema odpowiedzi, fakt pozostaje faktem. Zainteresujemy całą tę falangę przyjezdnych, która się po bruku paryskim tłoczy, a z ręką na sercu każdy się nam przyzna, że zawsze z jakąś przygodą z Paryża wraca; tę czy inną, bardziej lub mniej drastyczną, drobną, ludzką anegdotą chociażby, to zależy: od wrażliwości ludzkiej, od wypadkowych magicznych sił w danym wypadku działających i od wielu innych czynników, będących źródłem iskielki czarownej, którą mianem „pointy” chrząć po literacku zwykliśmy.

Oto jedna z drobniejszych przygód:

Tragizm z komizmem tryskają tu jakby z jednego wodotrysku. W jednym oku ła ci się szkli, w drugim chochlik się śmieje, jak wogóle na świecie, a nigdzie częściej, jak w Paryżu. Choć na pytanie — „dlaczego?” niema odpowiedzi, fakt pozostaje faktem.

Pewnego czerwcowego wieczoru siedziałem na werandzie kawiarni de la Paix. Byłem sam, w niezłym nastroju, grałem w piłkę oczami, ciągnąc whisky przez słomkę. Przede mną płynęła fala wieczornych spacerowiczów: piękne kobiety, charakterystyczne głowy, midinetki, Marokańczycy. Można było oczy napaść!

Wtem podchodzi wysmukły, młody mężczyzna do mego stolika, jedynego, przy którym wolne jeszcze krzesło stało. Nie mogłem mu przeto mieć za złe. Uprzejmie o pozwolenie pyta:

— Bardzo chętnie, proszę!

Dziękuję, robi ruch jakgdyby miał usiąść... Wtem coś nieoczekiwanego się dzieje: ledwie, że wolne krzesło zobaczył (niepozorny, na zielono pomalowany, nierzucający się w oczy rekwizyt dla ludzkiej wygody, z czterema cienkimi, prostymi nogami) — zmienił się nagle na twarzy.

Zbladł, złowrogi błysk ukazał się w jego oczach a z ust wściekły okrzyk się wyrwał.

Obu rękami schwytywszy krzesło, podniósł je do góry i — tak długo o posadzkę niem tłukł, aż się w kawałki rozprysło.

Z szybkością błyskawicy cała się ta scena rozegrała, szerząc zdumienie i postrach wokół. Oblicza kobiet — mawpól trwożne i ciekawe — to czerwieniały, to bladły naprzemian. Nie lepiej było i z mężczyznami. Kelnerzy rozbiegli się, niczym ptaki spłoszone, stając na uboczu bezradnie. Rozmowy umilkły. Jakiś pojedynczy głos policie głośno wzywał. Ale po co właściwie?

Osobliwy gość tymczasem oprzytomiał, jakgdyby się ze snu obudził. Spojrzał wokół przerażonym wzrokiem, sięgnął

zmieszany po pugilares i wyjąwszy zeń banknot, położył go na stole. Poczem mijając stoliki, gośćmi obsadzone, skierował się ku wyjściu. W chwili potem fala spacerującego tłumu poślknęła go.

— Głupiec, błazen czy idjota? — zadawałem sobie pytanie w duchu.

W każdym razie los był dla mnie przychylny; nie mnie, lecz niewinne zielone krzesło wybrał na pożalowania godny obiekt rozpetanego żywiołu. Jakże mu za to nieskończenie wdzięczny byłem!

Czuając jednak jakąś tajemnicę w całej tej sprawie tkwiącą i pasjami lubiąc tajemnice tropić, opuściłem kawiarnię, w ślad za bohaterem incydentu podążając.

Na trzecim czy czwartym rogu ulicy dogoniłem go zaledwie. Tak się biedaczysko śpieszył! Błady był ze wzburzenia i nogi się pod nim trzęsły. Kiedu mu rękę na ramieniu położyłem, drgnął całym ciałem i z głową na piersi pochyloną — stanął. Myślał prawdopodobnie, że jakiegoś zadośćuczynienia odeń zażądam. Ja jednak zaprosiwszy go na szklankę wina, zaproponowałem mu łagodnie, aby duszę przedemną otworzył i zrzucił z serca ciężar, który go prawdopodobnie gniecie, nadmierniając, że chętnie, w miarę możliwości z pomocą mu przyjdę. W ten obłudny i niegodziwy sposób chciałem mu bowiem wyrwać z duszy dręczącą go najwidoczniej tajemnicę.

Młody człowiek spojrzał mi w oczy. W wzroku jego szkliły się łzy. Poczem szepnął z cicha:

— Dobrze. Może się pan czegoś z mojej historii nauczyć — o ile wogóle można się czegoś z ludzkich historii nauczyć!

Jestem szefem biura w „Printemps”. Mając dwadzieścia pięć lat poznałem pierwszą moją żonę. Mając dwadzieścia sześć poprowadziłem ją do ołtarza. W rok zaś potem zdradziła mnie.

To się zdarza na świecie zapewne, ale mnie w serce trafiło! Znienawidziłem kobiety i poprzysiągłem sobie nigdy więcej oczom pięknej kobiety nie ulec! Wystarczy przecież sposobności unikać i mam swoją pracę zresztą!

Miałem przyjaciela! Dobra, oddaną mi duszę. Pewnego dnia w najlepszych humorach udaliśmy się na Pola Elizejskie spacerem. Dobrze się tam zawsze gawędzi, a w razie zmęczenia, pełno wszędzie ławeczek.

Było to w roku zeszłym na wiosnę. W wilgę dnia tego deszcz spadł. Tam, gdzie woda w ziemię nie wsiąkła, stały małe kałuże. Słońce się w nich kapało. Wiosna jednym słowem...

Przed jedną z mniejszych figur siedział młode dziewczę. Ładna była: blondyneczka, duże, szare oczy — rzadkość tutaj, nieprawdaż? Mnie jednak to nie obeszło wcale. Minęliśmy ją. Wtem przyjaciel mój, obejrawszy się, wzjął mnie za ramię i mówi:

— Usiądźmy przy niej.

Nie chciałem przyjacielowi memu psuć zabawy. Wiedziałem, że stracił niedawno przyjaciółkę i, że znów za miękkimi ramionami wokoło swej szyi tęsknił. Poszedłem więc z nim razem. Usiedliśmy obok panienki, ja z lewej, on z prawej strony — na zielonych krzesłach!

Mój przyjaciel zagaił rozmowę zwykłym w takich razach:

„Pani, oczarowany jestem jej ślicznym spojrzeniem i...”

Nie mógł jednak dokończyć, gdyż krzesło pod nim jęknęło i przewróciło się. Mój przyjaciel leżał na ziemi w kałuży, wywijając w gorze nogami a rękami daremnie w wodzie szukając twardego oparcia. Jego nowy jasny garnitur błotem obryzany, kapelusz gdzieś na trawie daleko!

Śliczna panienka wybuchnęła serdecznym śmiechem, rzecz prosta. Zestawienie faktów zbyt bowiem było pocieszne: oświadczenie miłosne na poczekaniu i niefortunny wielbiciel w błocie!

Mój przyjaciel zerwał się wreszcie i spojrzawszy na swoje zabłocone ręce oraz garnitur w smutnym stanie, bąknął coś w rodzaju przeprosin, poszedł po kapelusz, podniósł go, na głowę wcisnął i szybkim krokiem się ulotnił.

W roli Adonisa nie mógł już występować. Musiał przedewszystkiem się przebrać!

Ja jednak zostałem! Moje zielone krzesło nie było złamane! Dlaczego krzesło mojego przyjaciela właśnie miało słabą, nadwyróżoną nogę, a nie moje? Dlaczego los dla niego był łaskawszy? Krótko mówiąc, ja nieszczęsny, na moim mocnym krześle obok ślicznej dziewczyny siedząc, uległem czarowi jej przepaścistych oczu i... w dwa miesiące potem byłem znowu żonaty! A mój przyjaciel? Jego zielone krzesło uratowało. On jest nadal szczęśliwym kawalerem, a żona moja zdradza mnie z nim. Wczoraj się o tem dowiedziałem. Obojętnie to jednak przyjąłem. Nie pierwsze to moje doświadczenie małżeńskie. Ale kiedy dzisiaj nagle ujrzalem zielone krzesło przy stoliku — pan mię teraz rozumie — wyszedłem z równowagi i... zapomniałem się!

Tłum. Jotsaw.



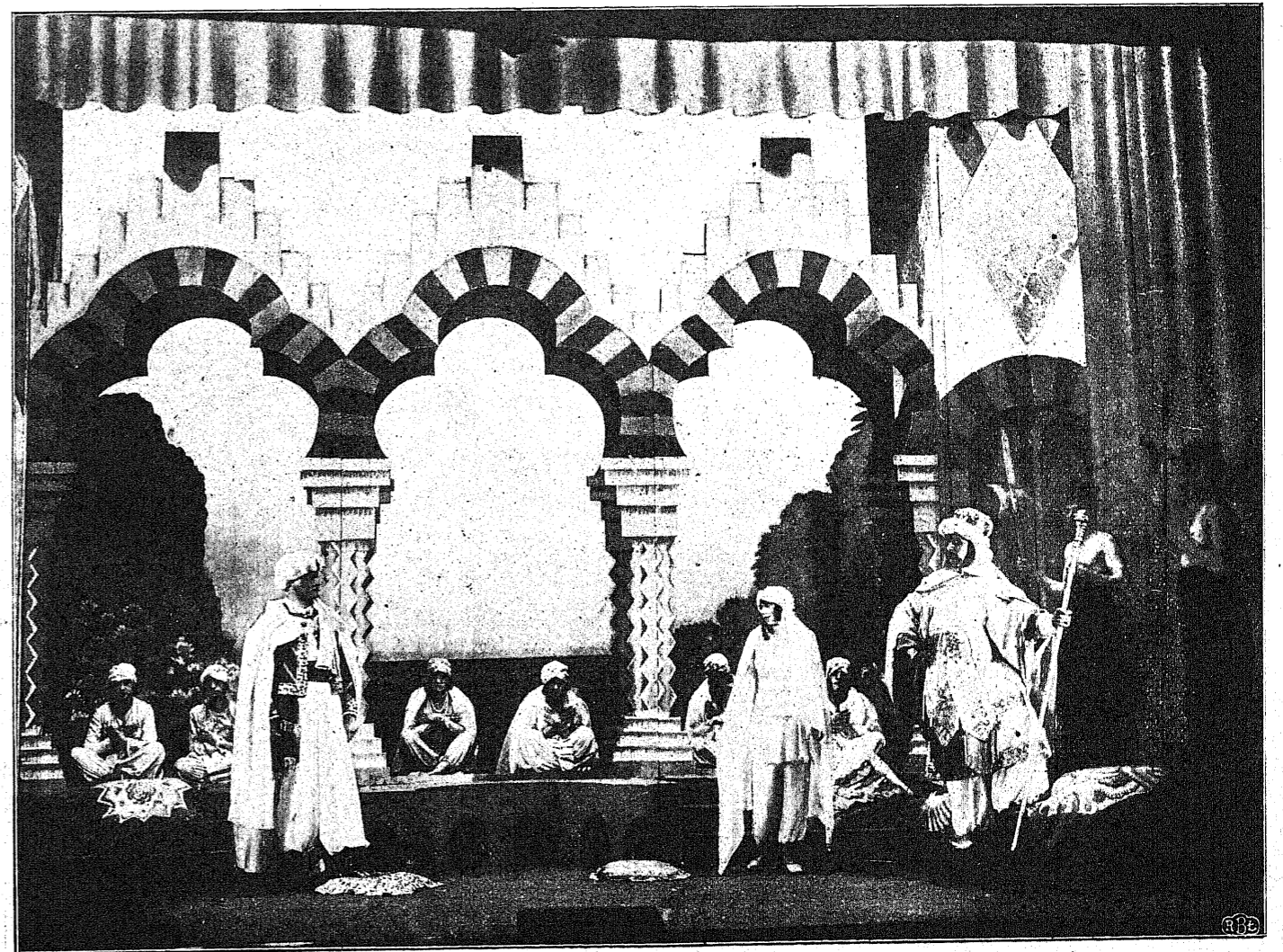
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Roł IV.

Łódź, dnia 25 września 1927.

№ 39.

## „Księżę Niezłomny” w Teatrze Miejskim w Łodzi.



Dyrekcja Teatru Miejskiego w Łodzi zainaugurowała nowy sezon wspaniale wystawionym w dniu 14 września dramatem Calderona-Słowackiego p. t. „Księżę Niezłomny”.

Zdjęcie powyższe przedstawia fragment z 1-go aktu „Księcia Niezłomnego”, a mianowicie scenę, odbywającą się w ogrodzie króla Fezu. Na tle olbrzymiego zamku stoją: córka króla Fezu, Feniksana w osobie p. Ireny Grywińskiej, król Fezu w osobie p. Stanisława Janowskiego, oraz dowódca wojsk feskich, Wulej w osobie p. Kwiatkowskiego.